Ksawery de Montépin

DOROŻKA nr 13

POWIEŚĆ ILUSTROWANA

Tytuł oryginału:
Le fiacre n° 13

Autor:
Ksawery de Montépin

Tłumaczenie z języka francuskiego:
tłumacz nieznany

Ilustracje:
Artigas, L.F. Bescherer, E. Clair-Guyot, Dietrich, E. Guilliod, A. Jeannot,
R. Maury, H. Meunier, A. Michele, Paris, V. Stablo, A.L.F. Tauxier

Redakcja:
Agata Tokarska

Korekta:
Beata Szostak
Dominika Wilk

Skład:
Alicja Malinka
Klaudyna Szewczyk

Projekt okładki:
Alicja Malinka

Wydanie książki nie byłoby możliwe, gdyby nie przychylność
Pana Jana Dobrzyniaka z Łodzi.

ISBN 978-83-65843-90-6

Zdjęcia na okładce:
© Magdalena Żyźniewska, Trevillion.com, © _cristina_, Pixabay.com

Wektory na wyklejce:
© GarryKillian, Freepik.com

© 2019 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Rzeszów, wydanie I

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-310 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

Druk: drukarnia Read Me

Książkę wydrukowano na papierze Ecco Book white 1.6 60g
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o. o. antalis™

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiejkolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

KSAWERY DE MONTÉPIN

DOROŻKA nr 13

POWIEŚĆ W SZEŚCIU TOMACH

TOM I

Na śladach zbrodni

I

Godzinę dziesiątą wieczorem wydzwoniły wieżowe zegary Paryża.

Po dniu pogodnym nastąpiła wspaniała noc wrześniowa roku 1857. Zza horyzontu ponad wzgórza Belleville wypłynął księżyc w pełni, błyszcząc jak puklerz srebrzysty. Białawe jego światło łączyło się z promieniami gwiazd bez liczby rozsianych na ciemnogranatowym tle nieba.

Na pochyłości wzgórz otaczających fortyfikacje, w lekkim półmroku tej nocy przejrzystej, dostrzec można było leżącego na trawie mężczyznę. Z głową na rękach wspartą nasłuchiwał pilnie, utkwiwszy wzrok nieruchomo w drożynę niknącą w oddaleniu wśród kasztanowej alei okalającej fortyfikacje między północną koleją żelazną a gościńcem Saint-Denis.

Ów nocny czatownik mógł mieć około lat sześćdziesięciu. Siwe, krótko przy skórze przycięte włosy okrywały mu czaszkę. Gęsta, szpakowata, niedbale utrzymana broda spadała ku piersiom, nadając jakiś ponury wyraz jego pomarszczonej twarzy, wśród której pod obwisłymi powiekami świeciło dwoje oczu iskrzących jak u kota. Ubrany w błękitną płócienną bluzę ujętą pasem skórzanym, miał na wierzchu stary surdut nieokreślonego koloru. Na trawie obok niego leżał słomiany kapelusz.

– Do kroć piorunów – wymruknął, nagle uderzając pięścią o ziemię. – Co się to znaczy? Od pół godziny już tu być powinien. W strasznym stawia mnie położeniu!... Co mogło zatrzymać tego psa morskiego?

Wyrażenie to często używane między majtkami mogłoby nasunąć przypuszczenie, iż ów starzec był marynarzem. Bynajmniej!

Powyższą osobistością był Raul Brisson, inaczej zwany Gęsim Piórem, były notariusz.

Brisson, pełniąc te obowiązki tytularnie, zamieszkiwał w jednym z prowincjonalnych miasteczek w pobliżu Paryża. Będąc do tego urzędowania naukowo przygotowanym i posiadając mały mająteczek, mógł był zaślubić posażną jakąś mieszczankę i pracować uczciwie.

Niestety, namiętność do gry w karty i słabość do kobiet w połączeniu ze zdolnością do fałszowania podpisów zwiodły go na zgubną drogę. Postawiony przed sądem i obwiniony o dwieście osiemdziesiąt kilka popełnionych fałszerstw, przeszedł w urzędowanie na galery w Breście; nie skruszony ani poprawiony bynajmniej.

Szanowny ów notariusz łączył z upodobaniem do kaligrafii rzadki dar naśladowania. Odtwarzał cudze podpisy, podśpiewując, świetnie naśladował sztychy i nagięcia, szczycąc się i przechwalając wokoło swymi zdolnościami fałszerza. Opowiadał z dumą, jak dnia pewnego podczas jego pobytu na galerach uwolniono go wskutek nadesłanego z Paryża, a pochodzącego wprost od ministra sprawiedliwości rozkazu, sporządzonego według wszelkich reguł, opatrzonego pieczęciami i urzędowym podpisem. Otóż cały ten rozkaz i wszystko w nim pomieszczone było sfałszowanym, od podpisu aż do pieczęci, z wyjątkiem jedynie marki pocztowej. W trzy dni później Raul Brisson został zatrzymanym. W drodze otrzymano telegraficzną wiadomość o sfałszowaniu rozkazu ministra.

Gęsie Pióro, opuściwszy Brest, gdzie, mówiąc nawiasem, jego słownik wzbogacił się o znaczną liczbę wyrazów miejscowych, poświęcił chętnie talent swój specjalistyczny każdemu, kto mu chciał zań hojnie zapłacić.

Nadeszła starość, ręka drżeć poczynała i ów były notariusz połączył się z bandą złodziei, ostatniego rodzaju włóczęgów bez dachu nad głową i chleba, żyjących z łupiestwa, sypiających w piecach do wypalania cegieł, w kamieniołomach czy nowo

budujących się domach, gdy nie starczyło kilku groszy na opłacenie budy noclegowej.

Wróćmy jednakże do chwili obecnej.

Po długim oczekiwaniu dało się słyszeć odgłos nadchodzących kroków. Brisson natężył słuch z podwójną uwagą, wlepiwszy wzrok w drogę biegnącą ku Saint-Denis. Mimo słyszanego odgłosu, ku wielkiemu zdziwieniu, nikogo na drodze dojrzeć nie mógł wśród jasnej, pogodnej nocy. Widocznie ów oczekiwany starał się ukrywać w cieniu rzuconym od fortyfikacji.

Skoro odgłos kroków umilkł zupełnie, po kilku sekundach wśród głębokiej ciszy rozległ się głos chrypliwy, wyrzucający w przestrzeń trzy sylaby naśladujące pianie kogutów w oddaleniu, używane jako hasło przez nocnych złodziei.

– Ku... ku... ryku!

Brisson, zerwawszy się, odpowiedział podobnie.

Natenczas w pobliżu ukazała się postać męska i zaczęła wchodzić na wzgórze okryte murawą. Przybyły był mężczyzną czterdziestoletnim przerażającej chudości. Opończa z grubego sukna zapięta pod szyję powiewała na jego koszuli. Stroju dopełniały spodnie w rodzaju pantalonów z granatowego materiału. Całość ubrania była czysta i schludna. Jego jasnoblond niegdyś włosy, obecnie barwy soli, ułożone były w dwa pukle na skroniach starannie wypomadowane. Twarz upstrzona czerwonawymi plamami była blada, wyżółkła, a małe oczy ukryte pod gęstymi brwiami spoglądały chytrze, z cynizmem. Granatowa czapka z daszkiem, na tył głowy zsunięta, dawała dostrzec wypukłe czoło, oznakę inteligencji, lecz w tym razie skierowanej ku złemu.

Były notariusz, poznawszy przy blasku księżyca charakterystyczną sylwetkę nadchodzącego, usiadł w oczekiwaniu.

– Do kroć tysięcy! – zawołał. – A przybywajże, włóczęgo. Gotów byłem już wszystko rzucić, do pioruna! Spóźniłeś się o całe pół godziny!

– Lepiej późno niż wcale! – odrzekł chrypliwym głosem ów człowiek szkielet. – Miałem już nawet nie przyjść.

– Dlaczego? Cóż się stało?

– To, że Szpagat nie chce, ażeby nas trzech należało do tej sprawy. Dowodził, że dwóch, to jest ja i on, wystarczy i myślałem już, że pójdziemy bez ciebie.

– Jak to?! – zawołał Brisson z niepokojem.

– Wszak wiesz, do pioruna, że on rozporządzać ma prawo – odparł przybyły. – Szpagat ułożył całą tę sprawę, do niego wybór należy.

– Na czymże więc stanęło?

– Och! Teraz wszystko w porządku – rzekł. – Przemawiałem za tobą. Gorąco cię broniłem i udało mi się nareszcie. Zawdzięczasz mi zatem wiele, bo mówię ci, że Szpagat źle jest przeciw tobie usposobionym. Brak ci energii... że niegdyś dobrym byłeś do gryzmolenia, lecz teraz twój wzrok szwankuje, drży ręka i nie jesteś już zdatnym do niczego. Widzisz, co znaczy starzeć się!

– Zestarzałem się, to prawda, ale mimo to jestem wart więcej niż inni.

– Nie przeczę... lecz Szpagat sądzi inaczej. Trudno jest wszystkim się podobać.

– I cóż postanowił nareszcie?

– Znajdziemy go w knajpie Pod Maczugą o północy. To jego miejsce schadzek. Wyda nam rozkazy i wskaże, gdzie iść trzeba.

– Czy wtajemniczył cię w tę sprawę?

– Nic mi nie powiedział.

– Musisz jednak wiedzieć, o co chodzi?

– Nic nie wiem... na honor! Domyślam się tylko, że chodzi tu o zdobycie dużej sumy pieniędzy, ku czemu wypadnie może użyć nam ostrza...

Brisson zadrżał.

– Morderstwo?... – wyszepnął zmienionym głosem.

– Mówiłem: „być może". A zresztą co cię to obchodzi, mój stary?

– Nie lubię rozlewu krwi...

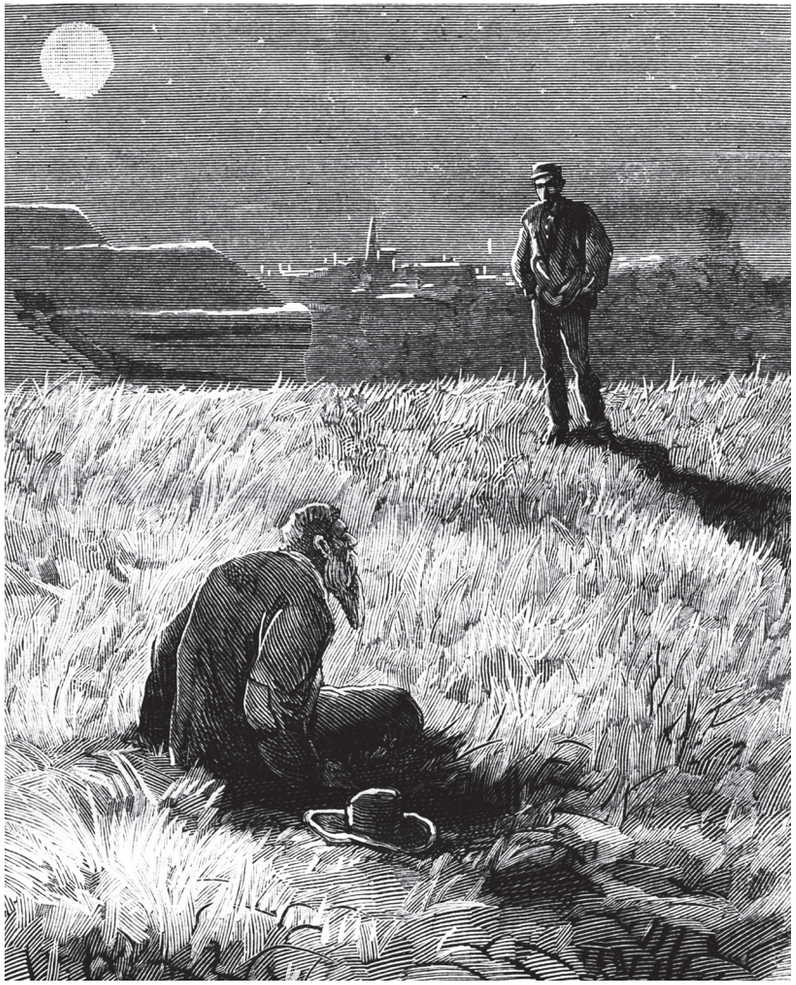

Były notariusz, poznawszy przy blasku księżyca charakterystyczną sylwetkę nadchodzącego, usiadł w oczekiwaniu.

– Ani ja, przysięgam, jakem Jan Czwartek. Nie sprzątnąłem nigdy nikogo dla przyjemności lub wprawy ręki. Gdy jednak trzeba, to trzeba! Nie mając żadnych dochodów, nie mamy żyć z czego. Bądź jednak spokojnym. Postawimy cię na straży po ułożeniu wszystkiego ze Szpagatem. Ruszaj więc w drogę, stare Gęsie Pióro, ty jedną stroną, ja drugą. Nie chcę, ażeby nas razem widziano.

Notariusz podniósł się i poszedł na lewo, podczas gdy Jan Czwartek udał się w prawo i wchodził do knajpy, pogwizdując arię z operetki.

Knajpa Pod Maczugą była jednym z owych bagnisk w okolicach podrogatkowych, tak licznie rozsianych w epoce, w której rozpoczynamy nasze opowiadanie. Sprzedaż fałszowanego wina i zaprawianych likierów odbywała się tu nie na parterze... ale w piwnicy starego domostwa w pobliżu rogatki Chapelle. Dwanaście schodów prowadziło do wnętrza tego zakładu o bardzo złej opinii, na który policja miała pilnie zwróconą uwagę.

Wszyscy o tym wiedzieli, a jednak można było tu spotkać i porządnych ludzi. Bywają miejsca publiczne, których rozgłos wabi ciekawych, a złoczyńców jak pułapka nęci ku sobie.

Jan Czwartek, inaczej zwany Słowikiem, wszedł na schody, przebiegł pierwszą salę, a raczej piwnicę oświetloną dwiema kopcącymi lampami zawieszonymi u sklepienia, i nie zwracając uwagi na pijanych przy bufecie, wszedł do drugiej, obszerniejszej, w tenże sam sposób oświetlonej sali.

II

Wpośrodku pomieszczenia stał zatłuszczony bilard. Dwanaście stolików ustawionych było rzędem pod ścianą. Przy każdym siedzieli mężczyźni o rozbójniczych fizjonomiach paserów i dziewczęta ostatniej kategorii, których brzydota dorównywała ich bezczelności.

Szpagat grał w bilard z młodym chłopcem, osiemnastoletnim, przyjemnej powierzchowności, o regularnych rysach twarzy. W całej postaci jego nie można było dostrzec nic podejrzanego. Najwprawniejszy fizjonomista nie odgadłby w nim zbrodniarza zdolnego do wszelkich najpotworniejszych występków.

Zachowanie się Szpagata wskazywało na robotnika lub publicznego posłańca.

Jan Czwartek uderzył go po ramieniu. Szpagat odwrócił się od bilardu i spojrzał.

– Ach! To ty? – zawołał. – Przyszedłeś sam?

– Jak widzisz...

– A notariusz?

– Nadejdzie.

– Usiądź i wypij tymczasem kieliszek. Zaraz skończę mą partię. Uważaj, Julku – dodał, zwracając się do swego partnera. – Osiemnaście przeciw dwunastu.

Jan Czwartek usiadł na ławie, kazał sobie nalać szklankę wina i wypróżnił ją, co powtarzał czterokrotnie.

W pięć minut później były notariusz ukazał się w drzwiach drugiej sali, właśnie na czas, ażeby trącić się szklanką z Janem Czwartkiem i Szpagatem, który ukończył partię bilardu.

– Idźmy teraz – rzekł Szpagat do obu kamratów.

– Gdzie nas chcesz prowadzić?

– W miejsce, gdzie będziemy mogli swobodnie porozmawiać. Do Fonsia, rozumie się. Fonsio to ja. Pójdę naprzód, aby wskazywać wam drogę. – Zamiast jednak przejść na salę i wydostać się na schody, Szpagat zwrócił się ku małym drzwiczkom wybitym w ścianie, a wychodzącym na ciemny korytarz. Wszedł weń i odwracając się, zapytał: – No! Idziecie za mną... hę?

– Nie inaczej!... Do pioruna!

Były notariusz i Jan Czwartek szli za nim razem. Wszyscy trzej zrobili około dwudziestu kroków w ciemności, macając rękoma po ścianie, aby się uchronić od upadku.

– Stój! – zawołał nagle Szpagat. – Otóż przybyliśmy. To moje tymczasowe gniazdko.

Otworzył znajdujące się przed sobą drzwi, zapalił zapałkę, a następnie świecę.

Natenczas obecnym ukazał się maleńki, niski pokoik, a raczej piwnica, z okienkiem w górze wychodzącym na dziedziniec. Ubita glina zastępowała tu podłogę. Ściany były wapnem wybielone, lecz zzieleniałe od wilgoci. Wyposażenie stanowiło łóżko żelazne, prosty drewniany stół, komoda i dwa kulawe krzesła. Nad komodą wisiało małe lusterko pleśnią pokryte. Kuferek znacznej objętości, starannie na klucz zamknięty, znajdował się pod stołem.

– Siadajcie! – rzekł właściciel mieszkania, wskazując krzesła swym gościom, i sam rzucił się na łóżko. – Tu możemy swobodnie porozmawiać!

– Nie masz czego do picia? – wymruknął Brisson, gorący wielbiciel butelki.

– Nie mam, mój stary. Spirytualia szkodliwie działają na ludzki organizm. Możecie jednak palić... Oto tytoń.

Jan Czwartek nabił sobie fajkę. Szpagat skręcił papierosa. Raul, wierny swojemu nawyknieniu, zadowolił się zażyciem tabaki, którą wciągnął z odgłosem huczącej trąby.

– A więc – zaczął Jan Czwartek, zawiązując na nowo rozmowę – mówisz, że sprawa jest ważną?

– Ba! Przynieść może każdemu z nas po dziesięć tysięcy franków.

– Dziesięć tysięcy franków! – powtórzył z zaiskrzonymi oczami były notariusz.

– Tak, moje stare Gęsie Pióro, a nawet i więcej. Otrzymawszy to, mógłbyś sobie urządzić kancelarię doradcy w sprawach sądowych. To bardzo korzystne zajęcie.

– Dlaczego nie? – odparł Brisson. – Przede wszystkim jednak postarałbym się o wydobycie z lombardu mojej garderoby.

– No, no! – mruknął w zamyśleniu Jan Czwartek. – Ależ nie łapmy ryb przed niewodem i nie traćmy słów daremnie. Porozmawiajmy, lecz mówmy serio, bo czas upływa. O cóż więc chodzi? Gdzież się znajduje ta małpa obrośnięta złotem? W jaki sposób zabrać się trzeba do niej, aby ją dobrze oskubać?

– Znajduje się ona przy ulicy Berlińskiej – rzekł Szpagat.

– W domu zamieszkałym przez lokatorów?

– Nie! W małym pałacyku pod dwudziestym czwartym numerem.

– Odosobnionym?

– Tak. Obok znajduje się dom świeżo stawiany, ogród z lewej, w tyle plac pusty okolony deskami. Jesteś tam jak u siebie; masz się gdzie ukryć, oczekując chwili, w której wypadnie przeleźć przez niski mur i wejść w głąb pałacyku którymś z okien parterowych, niemających z tej strony okiennic.

– Rozumiem! – zawołał Jan Czwartek. – Jest to rzecz prosta i łatwa do wykonania. Przy pomocy szklarskiego diamentu wyrżnie się w szybie okrągłą dziurkę, o tyle dużą, żeby ręka przez nią wejść mogła, następnie podnosi się zamek służący do zamykania okna i w trzech sekundach sprowadzasz się do śpiącego spokojnie obywatela, który ma drzwi na klucz zamknięte. Używałem niejednokrotnie tego sposobu, raz nawet pomnę, że mi się to nie udało.

– Dawno to było? – zapytał Brisson.

– Lat temu ze dwadzieścia.